



JILLIAN CANTOR
STRACONY
LIST

MARGINESY

The Lost Letter

COPYRIGHT © 2017 BY Jillian Cantor.

By arrangement with the author. All rights reserved.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Katarzyna Rosłan

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2019

Dla babci Bei i dziadka Milta. Pamiętam

[Szarotka] to roślina alpejska [...] która rośnie na granicy wiecznego śniegu, a nawet pod śniegiem. [...] Tylko najśmielsi pasterze kóz i myśliwi są w stanie zdobyć ów odporny na zimno kwiat. Jego posiadanie to dowód niezwyklej odwagi.

Berthold Auerbach, *Edelweiss*

AUSTRIA, 1939

Mocno ścisnęła w dłoniach listy, uważając, by nie uszkodzić znaczków. Padał śnieg. Marzły jej palce u stóp, przez zdarte podszwy butów przenikała zimna wilgoć, mimo to szła przez las, chroniąc listy pod płaszczem, by nie zamokły. „Jeszcze tylko parę kroków” – powtarzała sobie. To była nieprawda, ale szła dalej.

„Jeszcze parę kroków. Jeszcze parę”.

Musiała tylko dotrzeć do miasteczka i nadać listy na pocztę przy Wien Allee. Wystarczy je wysłać i wszystko będzie dobrze.

To też była nieprawda, rzecz jasna. Ale mimo to brnęła dalej przez śnieg.

Dotarła do skraju lasu i przez wirujące płatki śniegu, w niebieskoróżowym świetle przedświtów zobaczyła majaczące w dali czerwone dachy – te, które się jeszcze ostały.

Wien Allee. Już prawie tam była.

Nagły cios zimną kolbą w skroń tak ją zaskoczył, że nawet nie krzyknęła. Ktoś szarpnął ją za ramię i upuściła listy, które rozsypały się na nienaruszonym śniegu.

LOS ANGELES, 1989

Kiedy pierwszy raz podjeżdżam pod sklep filatelistyczny, nawet nie chce mi się wysiadać z samochodu. Jak na tutejszy klimat poranek jest wyjątkowo chłodny, a ja nie wzięłam nic ciepłego. Poza tym to pewnie i tak strata czasu.

Bagażnik mojego hatchbacka jest po brzegi wypełniony zawartością gabinetu ojca – grubymi klaserami, w których pod przeźroczystymi paskami gęsto upchane są znaczki, oraz plastikowymi pudłami pełnymi zdobyczy ze sklepów z różną starzyzną – głównie poślizgniętych listów napisanych w bliższej lub odleglejszej przeszłości, nigdy niewysłanych lub nieotwartych, nieodmiennie z naklejonym na kopercie znaczkiem. Jeżeli nie pozbędę się tego ładunku, będę musiała umieścić go gdzieś u siebie. Poza tym czuję się zobowiązana przynajmniej spróbować coś z tym wszystkim zrobić. Ta myśl motywuje mnie do działania – wysiadam z samochodu i otwieram bagażnik.

W dzieciństwie często szwendałam się z tatą po sklepach ze starzyzną i wyprzedażach garażowych, które odbywały się w weekendy. Przesiewaliśmy to, co inni uznali za niepotrzebne, w poszukiwaniu starego listu lub kolekcji znaczków należącej do kogoś, kto już odszedł i nie mógł się nią dłużej cieszyć. Zawsze pytałam ojca, czego konkretnie szuka, a on odwracał się do mnie i mówił z uśmiechem: „Klejnotu”. Tym właśnie – klejnotami – są dla niego znaczki. Lub raczej były. Diamentami, rubinami, szafirami. Tata uważał się za jubilera, który potrafi dostrzec i skazy,

i piękno w czymś, co w oczach świata zdaje się zupełnie nieciekawie. Pewnego razu pojechaliśmy całą rodziną do Waszyngtonu i tam, w Instytucie Smithsona, oglądaliśmy diament Hope. Wtedy tata powiedział: „O, właśnie czegoś takiego szukam, Kate”. Szczerze mówiąc, wątpiłam, że znajdzie to akurat na wyprzedazach i w sklepach z używanymi gratami rozsianych po południowej Kalifornii.

Według taty takim diamentem miał być znaczek pomyłka. Znaczek rzadki, bo wydany zbyt wcześnie lub zbyt późno albo wydrukowany z błędem. A wszystkie te pudła, upchnięte teraz u mnie w bagażniku, były owocem poszukiwań owego przypadkowego, wyjątkowego egzemplarza w morzu małych papierowych kwadracików.

Ja, kiedy patrzę na znaczki, widzę tylko papier i tusz. Traktuję je jako środek wiodący do celu, użyteczne narzędzie. Dzięki nim moje listy dochodzą do adresatów, otrzymuję rachunki do zapłacenia i kontaktuję się z Karen, moją przyjaciółką, która w zeszłym roku wyprowadziła się do Connecticut. A ostatnio znaczki gapią się na mnie z kuchennego blatu – trzy, z kwiatuskami, naklejone przez Daniela jeden obok drugiego na szarą kopertę, której do tej pory nie otworzyłam. Koniec wszystkiego. Nienawidzę tej ostateczności i dlatego jeszcze nie rozcięłam koperty.

Jestem pewna, że ojca, który raczej nie przepadał za Daniielem, zirytowałby wybór znaczków z kwiatkami na tego typu przesyłkę. Ale ojciec nic nie wie. A nawet gdyby wiedział, i tak by pewnie nie pamiętał.

*

Sklep filatelistyczny zajmował niewyróżniające się niczym pomieszczenie wciśnięte w ciąg lokali handlowych nieopodal skrzyżowania Czterysta Piątej i Sto Pierwszej na skraju dzielnicy Sherman Oaks. Nie jest to bynajmniej miejsce, w którym spodzie-

wałabym się znaleźć jakiś skarb. Ale trudno, już przyjechałam, w dodatku jestem umówiona. Wyjmuję z samochodu pierwszych parę plastikowych skrzynek i wchodzę do środka.

Właściciel sklepu, filatelista Benjamin Grossman, siedzi za biurkiem zawalonym czym się tylko da. W rogu blatu stoi mały czarno-biały telewizor. Mężczyzna ogląda wiadomości, w których jest wyświetlana relacja z wczorajszych wydarzeń w Berlinie Wschodnim.

Na mój widok podnosi głowę, ale nie wyłącza odbiornika. Jest młodszy, niż się wydaje przez telefon. Zbieranie znaczków zawsze kojarzyło mi się z emeryckim hobby, oczekiwałam więc kogoś starszego. Ale Benjamin wygląda, jakby był w moim wieku, przed czterdziestką lub może ciut po. Ma okulary w drucianych oprawkach i jasnobrązowe kręcone włosy.

– Pani Nelson? – pyta.

Wciąż nie jestem pewna, co zrobić z tym nazwiskiem po mężu.

– Katie – odpowiadam, nagle podejmując decyzję.

– Uhm, Katie – powtarza, rozkojarzony. Chyba nie może mu być bardziej wszystko jedno, jak się nazywam. Wyciąga rękę i porusza anteną telewizorka, by poprawić obraz. Odnoszę wrażenie, że mu w czymś przeszkadzam, mimo że byłam umówiona.

– Yy, co mam z tym zrobić? – pytam. Pudła swoje ważą.

– Oj, przepraszam. Można postawić. Tu gdzieś, na biurku. – Benjamin zostawia antenę w spokoju i siada.

Rozglądam się po zagraconym blacie.

– Gdziekolwiek – dodaje, a ja stawiam ładunek na jakichś papierach. Filatelista nachyla się i przez chwilę w skupieniu grzebie w swoim bałaganie, a mnie ogarnia ciekawość, jak to się stało, że został filatelistą. Jaki kierunek studiów trzeba skończyć lub z czego zdać maturę, by wziąć się za to zajęcie? Historię? Ja skończyłam filologię angielską i pracuję w magazynie lifestylo-

wym, gdzie prowadzę rubrykę filmową. To niezbyt dobrze płatne, ale za to rozrywkowe zajęcie – a przynajmniej było takie do niedawna.

– Przejrzę to – głos Grossmana wyrywa mnie z zamyślenia – i zadzwonię. Dam znać, co i jak. – Opowiedziałam mu już przez telefon o ojcu, jego szwankującej pamięci, niemożności dalszego prowadzenia kolekcji i uporczywym twierdzeniu, że zawiera ona klejnoty. Przez całe życie słyszałam, że kiedy się zestarzeje, przekaże mi swoje skarby. Powtórzył to również parę miesięcy temu, gdy umieściłam go w domu opieki The Willows. Ale szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia, co miałabym z tymi skarbami zrobić. I właśnie dlatego tu jestem.

Wychodzę do samochodu po kolejną porcję plastikowych skrzynek, a kiedy znowu pojawiaam się w kantorku, Benjamin unosi brwi i ponownie, tak jak przed chwilą, odrywa się od wiadomości.

– Tego jest więcej? – pyta, a ja kiwam głową. – Przepraszam, pomogę. – Wstaje i wychodzi za mną na parking. – Nie wiedziałem, nie chciałem być niegrzeczny.

– Nic się nie stało – odpowiadam. Nie mam ochoty na wymianę uprzejmości.

Benjamin mówi jednak dalej:

– Nie zdawałem sobie sprawy, że ojciec aż tyle zgromadził. – Zagląda do bagażnika.

– Ma siedemdziesiąt jeden lat – mówię i wychodzi to ostrzej, niż zamierzałam. – To jest... to była pasja jego życia. Obsesja. – Teraz, gdy wypowiadam to na głos, siedemdziesiąt jeden lat wcale nie brzmi staro. Wielu pacjentów The Willows jest w bardziej zaawansowanym wieku. A mnie wciąż złości ta niesprawiedliwość. Choroba taty jest dla mnie jak cios pięścią w brzuch, który odbiera mi oddech za każdym razem, gdy o tym pomyślę.

– Tak to zwykle bywa – mówi uprzejmie Benjamin, jakby rozumiał, a nawet dzielił z tatą tę obsesję. I jakbym ja była dziewczką, która jej nie pojmuje. Zresztą może i jestem.

Po wypakowaniu ostatnich pudeł Benjamin Grossman oświadcza:

– To mi zajmie tydzień, może dwa. Zadzwoń i dam znać, co znalazłem.

A mnie nieoczekiwanie dopadają wyrzuty sumienia. Zastanawiam się, jak by się poczuł tata na wieść, że oto zostawiam jego najcenniejsze skarby u jakiegoś przypadkowego faceta, którego wyszukałam w książce telefonicznej pod hasłem „Filatelistyka”. Dzwoniłam do wszystkich trzech sklepów, których numery znajdowały się w rubryce, a ten Grossman oddzwonił jako pierwszy.

– Dostanę jakieś pokwitowanie? – pytam.

Grossman kręci głową, wyciąga spod stosu papierzysek wizytówkę i wręcza mi ją.

– Odezwę się, jak skończę – mówi. A po chwili dodaje: – Proszę się nie martwić. Będą pod dobrą opieką. – Zupełnie jakby znaczki były kwiatami. Czymś, co trzeba pielęgnować, i to z czułością.

– Wcale się nie martwię – odpowiadam.

Właśnie oddałam w cudze ręce coś, co nawet do mnie nie należy. Kiedy jednak wsiadam do samochodu, wyjeżdżam z parkingu i włączam się do ruchu na Czteryście Piątej, odczuwam w sercu pustkę.

WZRUSZAJĄCA OPOWIEŚĆ O MIŁOŚCI
I PRZETRWANIU, INSPIROWANA
PRAWDZIWYMI WYDARZENIAMI



AUSTRIA, 1938

Kristoff terminuje u żydowskiego mistrza grawerskiego, projektanta i twórcy znaczków. Kiedy jego nauczyciel znika bez śladu podczas „nocy kryształowej”, Kristoff jest zmuszony przygotowywać znaczki na zlecenie władz Trzeciej Rzeszy.

Jednocześnie razem z ukochaną Eleną ryzykują życie, współpracując z austriackim ruchem oporu. Ta miłość – wśród brutalnego chaosu wojny – każe mu znaleźć sposób, by ocalić ukochaną, a przy okazji także siebie.

LOS ANGELES, 1989

Katie przechodzi trudne chwile. Musiała umieścić swojego ojca w domu opieki i jest w trakcie rozwodu. W czasie porządków odkrywa kolekcję znaczków ojca, którą oddaje do wyceny, a filatelista, Benjamin, znajduje wśród nich rzadki austriacki znaczek z czasów wojny, naklejonny na kopertę z listem miłosnym.

Katie i Benjamin rozpoczynają poszukiwania, które odkrywają przed nimi tragiczną historię miłości, obejmującą dziesięciolecia i kontynenty.

www.marginesy.com.pl



9 788366 140196

cena 37,90 zł

PIRSONY MEDALNY



lubimyczytać.pl

w sprzedaży także

